

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 14

Katowice, 10-go kwietnia

1932

Na niedzielę 2-gą po Wielkanocy.

EWANGELJA

zapisana u św. Jana w rozdz. 10, w. 11—16.

W on czas: Rzekł Jezus do faryzeuszów: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz życie własne daje za owce swoje. Lecz najemnik, i kto nie jest pasterzem, do którego owce nie należą, na widok zbliżającego się wilka porzuca owce i ucieka; wilk zaś porywa i rozprasza owce. Najemnik tedy ucieka, bo jest najemnikiem, i nie zależy mu na owcach. Jam jest pasterz dobry, i znam swoje, i one Mnie znają; podobnie jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. To też i życie swoje kładę za owce swoje. Mam Ja też inne owce, które nie są z tej owczarni, — i te muszę przyprowadzić; one także słuchać będą głosu mego, i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz.

NAUKA.

Ziszcza Zbawiciel obietnicę Swoją, „duszę Swą kładzie za owce Swoje“, gdy zawisa na drzewie krzyżowym! W chwili śmierci daje najwyższy dowód, że jest dobrym pasterzem! Ale właśnie wtedy zdaje się apostołom, że mistrz ich zawiódł ich nadzieje, nadużył ich wiary! „Oni się spodziewali, że on to miał odkupić Izraela, a teraz po wszystkim już trzeci dzień jak się to stało!“ Dopiero po Zmartwychwstaniu poznają swój błąd! Przekonują się, że i po zmartwychwstaniu nie przestał być dobrym pasterzem. Zbawiciel odszukuje rozprószonych, wylekniionych uczniów Swoich. Daje im się poznać, pociesza ich. Przez dni czterdzięci jeszcze pełni Pan Jezus urząd pasterski na ziemi! Pieczołowicie zajmuje się owczarnią Swoją, pilnie zabiega o to, aby jej zapewnić bezpieczeń-

stwo i pomyślność w przyszłości! Daje gromadzie owieczek, łekliwej jeszcze i słabej, podwaliny wspólnego rozwoju i niespożytości, zaopatruje we wszystko, czego jej potrzeba! Wyznaczywszy zastępcę Swojego na ziemi, prowadzi wierną gromadkę swą na górę Oliwną, górę pożegnania i Wniebowstąpienia.

Przestał Zbawiciel być pasterzem widzialnym, lecz nie opuścił owczarni Swojej na ziemi! Jest z nią „po wszystkie dni aż do skończenia świata!“ Jako niewidzialna głowa Kościoła, nadal jest Dobrym jego Pasterzem, a potężną Swą opieką i dziś otacza tych, którzy mają szczęście zaliczać się do owczarni Jego! Doznawał cudownej opieki Boskiego Pasterza Kościół św. niezliczone razy! Dwutysięczny okres dziejów Kościoła to jeden wielki dowód opieki Dobrego Pasterza nad owczarnią, w której, acz niewidzialnie, pragnął pozostać!

„Znam moje!“ Zna Zbawiciel owce Swoje, zna nas, albowiem naznaczył nas, opatrzył znamięm Swojem! Podwójne jest znamię! Charakter sakramentalny Chrztu św. i Bierzmowania na zawsze wyodrębnia nas z pośród wszystkich innych śmiertelnych. Zna Dobry Pasterz naszą nędzę, naszą słabość! Wysłuchuje nasze prośby, wspiera nas nawet wtedy, gdy o Nim zapominamy, oszczędza litościwie, gdy Go obrażamy! Ale żąda, abyśmy ze swej strony, wzajem „Go znali!“ Poznajmyż tedy Chrystusa. Bądźmy owieczkami dobremi! Nie biernem tylko słuchaniem głosu Pasterza, ale czynną współpracą z Nim! Bez zwłoki zabierzmy się do wielkiego dzieła apostołstwa Chrystusowego, wszyscy skupiajmy się około duchownych pasterzy w potężnym dziele Akcji Katolickiej, do której przez zastępcę Swego na ziemi wzywa nas Pasterz Dobry. Amen.

Głos z za grobu śp. ks. bisk. Zygmunta Łozińskiego.

„W Imię Ojca i Syna i Ducha Św. Amen.

Moi najmilsi Diecezjanie!

Nie zaczynam swego listu od zwykłego błogosławieństwa pasterskiego, bo, kiedy będzie Wam czytany, nie będę już Pasterzem Waszym. Piszę go w czasie rekolekcji, które uważam za przygotowanie się do śmierci. Każde rekolekcje trzeba za takie przygotowanie uważać. Śmierć jest blisko każdego z nas, a dzień Pański przychodził niespodzianie jak złodziej podług porównania ewangelicznego. Dając rozmaite zarządzenia przedśmiertne, chcę tu przygotować dla Was, moi Najmilsi, słów kilka, i proszę, aby były przeczytane w czasie ceremonij pogrzebu mego, byście je przyjęli jako głos, przychodzący do Was z mej trumny.

Niech to będzie ostatnia moja dla Was nauka. Kiedy ją piszę, mam prawo jeszcze nazywać Was

dziećmi swymi, i z prawa tego korzystam z całą miłością, którą mi Bóg wlał do serca, czyniąc mnie Waszym Ojcem Duchownym.

Ta miłość rodzi i utrzymuje w duszy mojej gorące pragnienie spotkania się z Wami wszystkimi w Królestwie chwały Bożej i oglądania Najśw. Oblicza Pańskiego po wszystkie wieki nie inaczej jak wspólnie z Wami.

Zadaniem mojem było prowadzić Was do nieba; jakżebym chciał, Dzieatki moje Najmilsze, zadanie to tak wykonać, aby nikt mi się z Was nie wymknął, nikt z Was nie zginął. Aby mi mógł z radością upaść w niebie przed Tron P. Jezusa, wołając: „Panie, oto ci, których mi powierzyłeś. Są tu wszyscy, nie brak nikogo“. Jakżebym chciał widzieć twarz najmilszą Matki naszej Najświętszej, patrzącej na Was z uśmiechem radości matczynej.

Dzieci moje! Bardzo niedołąźnie służyłem Wam, ani słowem ani przykładem nie umiałem być Wam przewodnikiem, jakim być należało. Wybaczcie mi winy moje... Alem Was kochał bardzo, i bardzo pragnąłem oddać za Was życie swe całe, i zawsze prosiłem Pana Jezusa, aby mi dał dużo cierpieć za Was, i przez cierpienie wysłużyć Kościołowi to, czego nie mogła dla niego zyskać moja praca nieudolna. Wielkim głosem tej miłości ojcowskiej wołam do Was — oto w tej chwili już z poza świata: Usłyszcie głos nie mój, ale Boży: Miłujcie Boga. Szukajcie naprzód królestwa niebieskiego i sprawiedliwości jego, a reszta, której potrzebujecie (Mat. VI. 32), będzie wam przydana (Mat. VI. 33). Nawróćcie się a nie grzeszcie. Czyńcie pokutę, a wiercie ewangelji (Mk. I. 15). Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się Królestwo Bżoe. Oto Sędzia Przedwieczny blisko jest, we drzwiach (Mat. XXIV. 33).

Patrząc przecie: małościę razy widzieli mnie przy tym ołtarzu celebrującego, siedzącego na tym tronie, błogosławiącego Was. Słuchajcie, ileż razy wołałem do Was, nauczałem Was, i choć niezdarnie, napominałem. Razem z Wami modliłem się za innych zmarłych. A oto inny dziś odprawia nabożeństwo, a ja, a raczej ziemską powłoka moja leży w tej trumnie bez ruchu, bez głosu, bez władna jak bryła, bo tylko bryła jest i garścią prochu. Cudzego głosu użyć muszę, aby do Was przemówić: życie moje się skończyło, **jestem jakobym nigdy nie był istnia.** Ale, Dzieci moje, dziś mnie, jutro każdemu z Was. Wczoraj byłem jako jeden z Was, jutro wy będziecie jako dziesiątą ja jestem: nicosć na ziemi, a dusza przed sądem Bożym, otrzymująca zapłatę, na jaką zapracowała... Na cóż chcecie Wy zapracować? Ach, póki czas: pracujcie na niebo, na oglądanie Boga, na wieczne miłowanie Go i weselenie się z Nim. Przestałem Wam być pasterzem i ojcem. Ale nie przestałem być przyjacielem waszym. Tak odważam się pisać, ufając miłosierdziu Ojca Niebieskiego, że mnie nie odrzuci od Siebie na wieki. A kto nie jest na tamtym świecie odrzucony od Boga, ten nie tylko nie przestaje kochać swych przyjaciół, ale kocha ich daleko goręcej i potężniej. Byłem Wam wszystkim, wszystkim bez wyjątku, czy mi kto z Was był przychylny czy nie, przyjacielem szczerym i oddanym, choć nie zawsze, znowu dla nieudolności swojej, umiałem to okazać. Tembardziej będę nim w życiu za grobem. Ale wzamian o jedną łaskę żebrzę sobie u Was. Najmilsi: Módlcie się za mą grzeszną duszę. Właśnie dla pobudzenia Was do szczerzej modlitwy prosiłem, aby pogrzeb mój od-

był się bez pustej parady, tak sprzecznej ze smutnym majestatem śmierci. Skromność surowa przy pogrzebie więcej z pewnością każdego do modlitwy pobudza, bo przepych sprawia tylko roztrągnienie. Módlcie się, moi Najmilsi, za mnie, i módlcie się gorąco za tych, za których ja miałem i mam obowiązek się modlić, a mozem go nie wypełnić należycie. Módlcie się za nas, aby modlitwy wasze nie tylko poratowały nas przed Panem, lecz abyśmy skuteczniej za Was mogli się modlić.

O Boże, Sędzio Sprawiedliwy i Zbawicielu nas Najmilszy: Łasce Twej i opiece polecam tę część Kościoła Twego, która mi przez Namiestnika Twego powierzona była. Daj im Pasterza, któryby lepiej im niż ja sterzował. Polecam wierne w b. mojej diecezji siołgi Twoje, a także dzieci Twe krnąbrne i odporne, i tych, którzy mię za pasterza swego nie pznawali, i tych, co Ciebie nie znali. Polecam łasce Twej i opiece szczególnej mvch współpracowników, kapłanów, którzy przyjacielami Swymi nazywałeś; polecam te tak gorąco przeze mnie umiłowane seminarja z ich wychowawcami, aby były zawsze rozsądnymi cnoty, świętości i zapalu apostołskiego. Oddaję pod opiekę Twą niewinną dziatwę; broń ją od wszelkich wpływów zgubnych i niebezpieczeństw. Weź pod wpływ wyłączny łaski Swojej tej nauczycieli, przewodników i opiekunów. Oddaję Ci pod opiekę moją Rodzinę, przyjaciół osobistych i dusze, któreś szczególnymi węzłami ze smną związał; napraw Swą łaską do pełności to, w czym ja im nie usłużyłem lub zaszkodziłem. Racz, Boże, wypłacić według szcudroblivosti Swojej wszystkie dobra, które jestem winien komukolwiek. Polecam Ci też całą biedną Ojczyznę mą ziemską: uczyn z niej Królestwo Twoje i Królestwo Marji, Matki Twojej, i ludv jej połącz węzłem miłości chrzescijańskiej. Polecam Ci Litwę ukochaną i Łotwę i Ruś i tę Rosję, dla której kazałeś nam pracować, i inne ościenne kraje i cały Ród ludzki — dzieło Rak Twoich i nabytek Krwi Twojej. Rozpal Boże wszędzie cześć Najświętszego Serca Twego i rozszerzaj kult Tajemnicy Eucharystycznej. A Ty, Namilsza Matko Jezusowa i nasza, wspomagaj nas codzień modlitwami Swymi i osłaniaj płaszczem miłości Swojej, i wraz ze wszystkimi zastępami niebieskimi wyproś nam wszystkim zbawienie wieczne i wieczne odpocznienie. Amen.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus na wieki wieków. Amen.

Gniezno, 14 września, w dzień Podwyższenia Krzyża Św., 1928 r."

Rezurekcja na wsi.

(Urywek z Reymonta „Chłopów“).

Kościół już był jakby nabity, ściśniony naród kłębił się i wrzał, niby woda z poszumem pacierzy, wzdychań, kaszłów a pozdrowiań i kłósał się od ściany do ściany, aż się od tego naporu kolebały chorągwie, w ławki pozatykane, i te świerczaki, któremi umaili ołtarze i ściany wszystkie.

Kłękali kornie, cisnąc się coraz bardziej, że wnet cały naród był na kolanach, ramię przy ramieniu, dusza przy duszy, jako to pole nasadzone głowami, że ino w tym rozkołysanym ździebko,

człowieczym łanie oczy się mrowiły, połyskliwiekiej motyle, miosąc się ku ołtarzowi wielkiemu, na figurę Jezusa zmartwychwstałego, który stał nagi, skrwawiony, ranami pokryty i płaszcz czerwony jeno przyodziany z chorągiewką w rękę.

Cichość nagle objęła kościół, jakby tego zwiensnowego przypołudnia, kieć to słońce przypięcze pola, wiatery ustanie i przygięte zboża se kłosami gwarzą, a jeno gdziesik wysoko, pod niebem miodrem skowronki pieśni słodko podzwaniają...

Rozmądlali się zwolna, że wargi się wszędzie trzęsły i pacierze ze wzdychaniami szemrały cichusko a rześście, kiej ten deszczyk, trzepiący po liściach; głowy pochylały się skądś, to czyjeś rozmodlone ręce wychywały prosząco ku ołtarzowi albo i płacz zakwilił piskłący, żalony z tej ciżby, co jak krzewy ziemne tuliły się trwożnie w cieniach naw wzniosłych i mrocznych, niby bór odwieczny. bo chociaż na ołtarzach gorzały światła, gęsty mrok zalegał kościół, że to oknami a głównie przez wielkie drzwi wywarła noc się cisnęła czarna i zagłądał blady sierp księżycy z za chmur.

W ławkach stojących z boku ołtarza, modliły się na książkach dziedziczki z Rudki, z Modlicy i dziedzicówny z Wólki a dziedzice stały w drzwiach zakrystji, poredzając cosik; na stopniach ołtarza stała zdaleka młynarzowa i organiścina, silnie wystrojone. Zasia przed kratą, tam, kaj było miejsce dla najpierwszych gospodarzy lipeckich, które zawsze stróże trzymali w czas nabożeństw, baldach nosili nad dobrodziejem i pod ręce go wiedli na procesjach, kłęczący teraz gęstą ławą chłopcy z drugich wsi, że ledwie było można dojrzeć między nimi wóita, sołtysa i ten czerwony łeb kowalowy.

Szczęściem, co dobrodziej w tę porę rozpoczął kazanie i rumor się czynił na kościele, gdyż powstawali z kłęczek, cisnąc się jeszcze bardziej ku ambonie i zadzierając głowy do gór, ku księdzu, który o Męce Pańskiej powiadał i o tem, jak Gopaskudne żydowiny ukrzyżowały, że to świat przyszedł zbawić, że sprawiedliwość chciał dawać pokrzywdzonym, że za biedotę się upominał. Tak rzewliwie owe krzywdy Pańskie na oczy przywodził, jaże się gorąco robiło i nie jedna pięść chłopiska zwierała się na odemstę, a babi naród na głos szlochał, czwiniac sprawę wedle nosów.

Długo nauczał, wykładając wszystko dokumentnie, jaże kajś niekaj oczy kleiły się śpikiem, a po kątach już na dobrze drzemali, ale pod koniec zwrócił się prosto do narodu i wychylony z ambony, jał silnie wytrząchać pięściami a krzyzczyć, jako co dnia, co godzina i na każdym miejscu Jezus umęczony jest przez grzechy nasze, zabity przez złość, bezbożność, a nieposłuszeństwo prawom Boskim, jako każdy człowiek krzyżuje Go w siebie, nie pomnąc na Jego rany i krew świętą, wylaną dla naszego zbawienia!

Ryknął ci na to cały naród, i płacze, szlochania kiej wicher, rozniosły się jękiem wstrząsającym po kościele, aż przestał mówić. Dopiero kiej przycichli, zaczął znowu, ale już radośnie i krzepiąco, o Zmartwychwstaniu Pańskim powiadać. O onej zwieśnie, jaką Pan w dobroci Swojej czyni co roku człowiekowi grzesznemu i czynić będzie aż do owej pory, kiej Jezus powróci znowu na świat, by sądzić żywe i pomarłe, by harde poniżyć, grzeszne w ogień piekielny na wiek wieków spychać, a sprawiedliwe po prawicy Swojej sadzać w chwale wiekuistej. Jako przyjdzie czas, iże wszelka niesprawiedliwość ustanie, wszelka krzywda weźmie zapłatę, a płakania cierpiących ustaną i zło panować nie będzie...

I tak gorąco to mówił, tak pocziwie, że każde słowo kiej słodkość, lało się w serca i kieby słońce rozpalalo w duszach, że dziwna błogość przejmowała wszystkich, jeno lipeckie ludzje zatrzęsły się z żalu i przypomnienia krzywd tak bo-

leśnie ścięły duszę, jakże ryknęli wraz z płaczem, krzykiem, szlochaniem i walili się krzyżem na podłode, tym jękiem żalnym, tym skrzybolem serdecznym, wołając o zmiłowanie i poratunek...

A gdy wnet potem ksiądz zaintonował u ołtarza pieśń Zmartwychwstania, kiej organy wtórem huknęły z całej mocy, kiej dzwony zaśpiewały na cały świat a dobrodziej z Przenajświętszym Sakramentem jał postępować ku narodowi, w sinym obłoku kadziel i dzwonnej wrzawie pieśń buchnęła ze wszystkich gardzieli, zakolebała się ciżba, palący wicher uniesienia osuszył lzy i porwał dusze, iż naraz, społem, kiej ten bór człowieczy, rozchwiany i śpiewający jednym, ogromnym głosem, ruszył procesją za promienie jare rozgorzałe nad głowami, płynąc zwolna skroś gęstwy nieprzeliczonej, wskroś światel jarzących, w kadzielnych dymach ledwie dojrzone, śpiewaniami spowite i przez oczy wszystkie z miłością niesione.

Obchodzili kościół we środka a wolniuško, noga za nogą, cisnąc z całej mocy, a organy wciąż grały a dzwony bezustannie biły...

Alleluja! Alleluja! Alleluja! Jęczał kościół, aż mury się trzęsły, śpiewały serca wszystkie i gardziele a te głosy promienne i ogniem rozbrzmiały, niby żar, niby ptaki, rwały się z krzykiem wesela ogromnym kołowały pod sklepieniem, kiejby pośleple w apelu, i w noc wiośnianą płynęły na słońce, się gdziesik niesły, we wszystkie świat, kaj jeno uniesieniem dusze człowiecze sięgają...

Prawie przed północnym skończyło się nabożeństwo, i ludzje jęli się śpieszno na świat wywalać.

Świadectwo nieboszczyka.

Mieszkał w zamku kasztelan bogaty. Liczne włości otaczały jego pałac, ze wszystkich zbiegały się doń drożyny, któremi jeździli ekonomowie, komisarze i rządcy, zwożąc pieniądze i różne plony gospodarskie. Ale tych dostatków nie widać było na zamku. Budowle wprawdzie porządne, wszędzie czysto i chędogo, wszystkiego dosyć, ale nigdzie nadto, nigdzie zbytku i wystawy. Mówiono, że kasztelan weża ma w kieszeni, który go straszy, ilekroć sięgnie ręką po grosz i domyślano się, że wielkie skarby zakopuje w piwnicach. Jakoż codziennie koło wieczora chodził ów pan ze starym sługą do piwnicy i tam po kilka godzin przesiadawał. Cóż tam mógł robić? Oczywiście rachował pieniądze. Budziło to wszystkich ciekawość, zakradano się, podsłuchiowano, upatrywano szpary, ale napróżno; bo sklep był dobrze obwarowany, a jedyne okno, co wychodziło na podwórze, kazał pan zamurować.

Uważano także, że Mikołaj (takie było nazwisko sługi) często miewał z panem narady, jeździł daleko, chodził po wsiach, żył ze wszystkimi włościaninami i wszyscy go jak ojca, dobrodzieja swego witali. Czemu tak — niewiadomo; bo Mikołaj nietylko sam był małowówny, ale i zakazywał, aby o nim mówiono. Więc też był cicho, tylko kiedy kasztelan jechał przez wieś, wybiegali doń włościanie, całowały kraj jego sukni kobiety, niemo-wlęta na rozkaz matki zanosily modły do nieba o długie i pomyślne dni dobroczynnego pana. Wiele mił objechał w koło, a nie spostrzegł nigdzie tak wesolych, rumianych i zdrowych ludzi, tak godnych zabudowań, rosłego i tłustego bydła,

dziarskiego zaprzęgu. Niwy złościły się falami kłosów, sady czerwieniały owocami, a ogrody brzęczały rojami pszczoł i na wzór owego dziedzica zewsząd zbierały miód, aby go drugim udzielić.

Pewnego razu kasztelana napadła niemoc, stracił mowę, a wkrótce życie. W miejsce starego nastał nowy pan, syn rodzony, ale w niczem ojcu nie podobny. Ledwo zwłoki starego zawieziono do grobu, zawołał kasztelanik Mikołaja i kazał się zaprowadzić, nie mówiąc słowa, do piwnicy. Przyszedłszy, urządził wielką skrzynię, rzucił się na nią z chciwością, otworzył i zobaczył stare księgi, włosienicę i dyscyplinę. Ze złością kopnął nogą i zawołał groźnie:

— Gdzie są pieniądze?

— Niema ich, panie — odpowiedział spokojnie Mikołaj.

— Tyś był doradcą i powiernikiem ojca; podczas jego choroby tyś tutaj chodził i w domu wszystkim zawiadywał.

— Prawda jest, panie, czyniłem co kazał.

— Póki stary był zdrow, być może, ale później. Wreszcie co mi tam. — gadaj, gdzie są pieniądze, albo cię — i podniósł rękę na starego.

Mikołaj spojrział mu w oczy; po chwili smutnie westchnąwszy rzekł:

— Paniczu, pieniędzy niema, pan je rozdawał między ubogich.

— Tyś je roznosił?

— Ja paniczu.

— Więc gdzie masz kwity?

— Pan ich nie kazał brać, zresztą ci, którym dawał, pisać nie umieli. — dodał Mikołaj, a zawsze smutnym i spokojnym głosem.

— Kłamiesz, — krzyknął dziedzic, — skradłeś pieniądze!

— Paniczu, a dla kogo? Alboż mam żonę albo dzieci? Siedem krzyżyków na tej głowie. Położę ją ja niedługo za starym panem, któregoś bodaj był nie przeżył. —

— Stary filucie, — wrzeszczał dziedzic, — myślisz, że mnie tak łatwo odrwić. Raz ostatni — pieniądze albo kwity!

— Powiedziałem raz, że nie mam ani kwitów ani pieniędzy, — z boleścią wyrzekł sługa.

— Dobrze, więc póki ich nie złożysz, będziesz tu siedział. Choćbyś miał umrzeć z głodu, nie puszcze cię. Spojrzyj po kątach, ty wiesz najlepiej, sklep mocny, ani cię stąd djabeł nie dobędzie. —

— Paniczu, zmiłuj się nad starym, nad samym sobą. Nie daj się uwodzić ku zbrodni, — wołał Mikołaj, lecz rozwścieklony mlókos już był na schodach. Zatrzaskał ciężkie drzwi, zaryglował na dwa klucze i zgrzytając zębami, poszedł do siebie na górę.

Tam go czekało ochozce grono. Opowiedział im kasztelanik całą rzecz, wreszcie dodał:

— Boję się tylko, że stary zdechnie i nic nie powie.

— Bądź spokojny, niechno mu się jeść zachce, wyśpiewa ptaszek wszystko i jeszcze sam pomoże w kopaniu.

— Przewyborny koncept, — dodał drugi, — dalipan poznaie cie kasztelanicu. Ale wiesz co, weźno potem Mikołaja na pytki, bo stary woli umrzeć a nie powie ci, gdzie pieniądze. Taka to ich natura. Oni myślą, że jeszcze na tamtych świecie będą mogli je rachować.

— Później o tem, — odrzekł kasztelanik, którego nadzieja odkrycia skarbów nieco udobruchała.

— Panowie bracia, nie traćmy czasu, patrzcie, co przygotowano, kapitalny bigos, aż mi ślina do ust idzie. Spróbujmy się z nim.

— Zgoda, zgoda, — zawołali i jak zasiedli do stołu i poczęli od przekąski przed południem, tak i słońce zachodzące zostawiło ich przy kielichu i świt zastał pijanych, sennych, leżących to na ziemi, to na krzesłach, dopóki słudzy nie powynosili panów swych z sali jadalnej i nie pokładli do łóżek.

Na drugi dzień toż samo, tylko pijatykę pomnożono rozpustnemi tańcami, czas ulatwiał tak prędko, wesoło, że dopiero na trzeci dzień przypomniało się kasztelanikowi o Mikołaju. Zawołał więc lokaja i zapytał, czy nie słyszeli pukania w piwnicę. Nie słyszał żaden. Zdziwiło to, rozdrażniło kasztelanica, spuścił głowę i milczał.

— Czekajmy jeszcze, — odezwał się jeden z biesiadników.

— Bądź spokojny kasztelanicu, czy stary umrze, czy nie, pieniądze są w piwnicy, to choćbyśmy kopać na śniąg głębokości, to je wreszcie odkopimy.

— Wiem o tem, — odrzekł kasztelanik, ale myśle co to znaczy, że Mikołaj nie daje znaku życia.

— Bierz go czarci, kiedy chciał cię okraść, dobrze mu tak.

— A dobrze mu, — dodał drugi, — niechaj go teraz żywi stary, albo poświadczy jego niewinność.

Na te słowa jakiś strach mimowolny przejął wszystkich, i wszystkich oczy zwróciły się ku alkierzowi, gdzie umarł s. p. kasztelan. Nagle zatrzęsł się gmach, zadrzęły okna, dziwny blask zaświecił u dworu i rozwarły się drzwi do alkierza: w nich stanął kasztelan. Bławy był, srebrne włosy spadały mu na ramiona i okalały twarz wychudłą i pomarszczoną, ale przejętą świętym wyrazem zgrozy i pogardy. Głowa podniesiona do góry, a oczy takim pałały blaskiem, że ich żaden z biesiadników wytrzymać nie mógł. Jedną rękę podniósł do góry i zdawał się grozić, drugą trzymał pochylonego Mikołaja.

— Nie omyliłeś się bluźnierco, — rzecze surowo, — nie opuściłem wiernego sługi i nie dozwoliłem, aby go złość wasza zameczyła. Niewinny jest i stokroć lepszy od was. Biada temu, kto choć jeden włos poważy się zerwać z jego siwej głowy.

Kiedy te słowa wyrzekł, jasna mgła, w którą był przyodzian, poczęła ciemnieć, zacieraty się zwolna rysy wspaniałej postaci; starzec ginął w ciemności i wkrótce przy zamkniętych drzwiach alkierza pozostał tylko sędziwy sługa, słuchający w pokorze ducha słów pańskich.

W sali biesiadniczej grobowa panowała cisza. Znikło widzenie, a nikt nie śmiał podnieść oczu, bojąc się spotkać z tym przerażającym wzrokiem, pomierzyć z groźbą starca, który przyszedł poświadczyć niewinność sługi. Kasztelanik leżał na ziemi, nie dając znaku życia; spostrzegł to Mikołaj, a zdjęty trwogą o życie młodego pana, pospieszył ku niemu i podniósł.

— Zbrodniarzem jestem i niegodzienem twej litości, — wołał łkając kasztelanik, a widząc lzy współczucia na twarzy sługi, rzucił mu się w objęcia, mówiąc: — Przebac mi, Mikołaju, bądź moim stróżem i opiekunem, jakoś był wiernym doradcą ojca mego.

A sługa przez miłość ojca, zapomniał win synowi, ufając, że Bóg drugi cud pokaże, to jest dozwoli temu synowi żyć tak, jako żył jego ojciec.